



Wigilia w domu pomocy

tekst

**KS. SŁAWOMIR CZALEJ**

redaktor wydania

Jeszcze się cieszymy zapachem choinki i prezentami, a nie minie chwila i będziemy z niepokojem patrzeć na rok 2012. Bo wiadomo – widmo kryzysu, a niektórzy nawet koniec świata przepowiadają. Nie tylko Majowie, których już nie ma, ale i współcześni wróżbici. Kiedy robiłem fotografie pani Jadwidze Komorowskiej, zobaczyłem i poczułem ciepło osoby, która jest już bardzo blisko Pana Boga. Co pozwala jej zachować pogodę ducha w obliczu bliskiego stanięcia przez Stwórcę? Na pewno rodzina, czyli wychowane dzieci, modlitwa, to znaczy zaufanie Bogu a nie szarlatanom (s. IV-V). Z drugiej strony, na razie, uwzględniamy realizm świata, który nas otacza. Nie żyjemy bowiem w słonecznej, plastikowej szklarni. Doświadczamy, że na tym odkupionym już świecie nadal panują bezprawie i niesprawiedliwości. 30 lat po stanie wojennym osoby, które bezpośrednio odpowiadają za strzelanie do naszych rodaków, nadal pozostają bezkarne (s. VI-VII). Wchodząc jednak w kolejny rok, nie wpadajmy w panikę ani nie pielęgnujmy żalu. Troskajmy się o życie, nawet nie o to, żeby było długie, ale dobre. Świat bowiem nie należy do nikogo innego, jak tylko do Tego, którego mamy nadzieję zobaczyć. Kiedy? Chwilę potem, gdy powie: „Już”.

## Nowe życie po sześćdziesiątce



MACIEJ CIEMNY

64-letni Kazimierz Kwiatkowski ma od miesiąca swoje pierwsze mieszkanie. Zdobył je dzięki stowarzyszeniu Emaus – grupie pomagającej osobom wychodzącym na wolność.

**Z**ywoć miałem pokrecony. 21 lat byłem bezdomny. Wcześniej mieszkałem w domu dziecka, poprawczaku, byłem kilka razy w więzieniu. Kradłem. Ostatnio za kratami byłem osiem miesięcy. Jak wyszedłem, to koleżanka powiedziała mi o tym miejscu. Przyszedłem – opowiada Kazimierz Kwiatkowski.

Stowarzyszenie Emaus w Gdańsku założył ks. Roman Zrój, dawny

kapelan więzienny. Organizacja prowadzi dom pomocy, dający schronienie mężczyznom, którzy po zakończeniu wyroku nie mają dokąd wrócić. Od 2002 roku na podstawie umowy z miastem stowarzyszenie pomaga też zdobywać byłym więźniom mieszkania. Jeżeli wyremontują jedno kompletnie zdewastowane, to w drugim mogą zamieszkać.

Pan Kazimierz skorzystał z tego programu i od 17 listopada mieszka u siebie. – Przedtem półtora roku byłem w Emaus. Nawet nie myślałem, że po raz pierwszy w życiu będę miał własne mieszkanie – przyznaje dawny bezdomny.

Gdy Kazimierz Kwiatkowski zyskał własny dach nad głową, przyszło również uspokojenie duchowe. – Przyjąłem chrzest, bierzmowanie otrzymałem z rąk abp. Gocłowskiego. To dla

**Kazimierz Kwiatkowski (pośrodku) w trakcie wspólnego kołędowania przy wigilijnym stole**

mnie prawdziwy zaszczyt, nie spodziewałem się tego – uśmiecha się pan Kazimierz.

Podobnych historii można było usłyszeć wiele na spotkaniu opłatkowym 18 grudnia w siedzibie stowarzyszenia, gdzie przy stole zasiedli pensjonariusze i wo-

lontariusze Emaus. Byli też ci, którzy już są na swoim. – Miasto przekazuje nam zdewastowane mieszkania, od sponsorów dostajemy materiały na przeprowadzenie remontu. Chcielibyśmy pomagać większej liczbie osób, ale nie mamy na to wystarczających funduszy – mówi ks. Roman Zrój. – Jako kapłan chciałbym jeszcze móc odnawiać śluby naszych podopiecznych. Żony od nich odeszły, ale teraz to przecieć zupełnie inni ludzie. Nie przestępcy, ale poukładani mężczyźni. Może jeszcze się uda – dodaje.

**Maciej Ciemny**

Tym żyła archidiecezja

# Fotofakty 2011

Przypominamy  
**niektóre  
ważne i ciekawe  
wydarzenia**  
z naszego regionu,  
widziane  
okiem reportera  
„Gościa Gdańskiego”.



**30 STYCZNIA, GDYNIA.** W parafii św. Andrzeja Boboli gościł ks. Robert Mutageki z Ugandy, który opowiadał o sytuacji Kościoła na Czarnym Łądzie i kwestował na stypendia dla biednych uczniów w swoim kraju.

zdjęcia

**KS. SŁAWOMIR CZALEJ**

slawomir.czalej@gosc.pl



**22 MAJA, GDAŃSK.** Prawie 3 tys. osób przemaszerowały ulicami Gdańska w II Marszu dla Życia i Rodziny. Było to o 1000 uczestników więcej niż w ubiegłym roku.



**26 KWIETNIA, PRUSZCZ GDAŃSKI.** Spod parafii bł. Michała Kozala 17 motocyklistów wyjechało na swoich maszynach w pielgrzymce na beatyfikację Jana Pawła II. Pomysłodawcą nietypowej eskapady był ks. Mateusz Warmijak (na zdjęciu).



**6 MARCA, GDAŃSK-SOPOT.** W hali Ergo Arena rozegrano 10. charytatywny turniej hokeja księży, dziennikarzy i policjantów. Dochód przeznaczono na potrzeby Szpitala Dziecięcego w Oliwie oraz Hospicjum im. ks. E. Dutkiewicz w Gdańsku.



Centrum Informacyjne  
Archidiecezji Gdańskiej:

[www.adalbertus.gda.pl](http://www.adalbertus.gda.pl)

**GOŚĆ GDAŃSKI**

gdansk@gosc.pl

**ADRES REDAKCJI:**  
ul. bp. E. Nowickiego 2, 80-330 Gdańsk  
**TELEFON/FAKS (58) 554 34 15**  
**REDAGUJĄ:**  
ks. Sławomir Czalej – dyrektor oddziału,  
Andrzej Urbański



**WIOSNA 2001, GDAŃSK.** W podziemiach bazyliki św. Brygidy odkryto kryptę z ludzkimi kośćmi. Jest to kaplica pokutnic, gdzie przed pogrzebem w XIV w. spoczywało ciało świętej. Na zdjęciu proboszcz ks. kan. Ludwik Kowalski pokazuje zejście do krypty.



**23–26 LIPCA, ARCHIDIECEZJA GDAŃSKA.** Można było zobaczyć i dotknąć zrekonstruowanego papamobile, którym podczas pierwszej pielgrzymki do ojczyzny poruszały się Jan Paweł II.

**14 MAJA, GDAŃSK.** W obecności m.in. prezydenta Bronisława Komorowskiego, abp. Sławoja Leszka Głódzia i abp. seniora Tadeusza Gocłowskiego został wmurowany akt erekcyjny pod budowę siedziby Europejskiego Centrum Solidarności.



**4 LISTOPADA, KIEZMARK.** Do parafii Matki Bożej Częstochowskiej przybyły relikwie bł. Jana Pawła II.



**27 LISTOPADA, ELGANOWO.** Metropolita gdański abp Sławoj Leszek Głódź poświęcił i konsekrował kościół pw. bł. ks. Jerzego Popiełuszki. W uroczystości uczestniczyli siostra i brat (na zdjęciu przyjmuje Komunię św.) błogosławionego patrona.



**13 LISTOPADA, GDAŃSK.** Arcybiskup Sławoj Leszek Głódź koronował obraz Matki Bożej Miłosierdzia.

# Mamy za co Panu

O potrzebie mądrej i życzliwej dyplomacji w małżeństwie, o szczęśliwej rodzinie i zwyczajach bożonarodzeniowych z Jadwigą Komorowską, mamą prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, rozmawia Marta Broniewska.

**MARTA BRONIEWSKA:** Stworzyła Pani z mężem dom dla trójki dzieci. Teraz ma Pani dziesięcioro wnucząt i siedmioro prawnu-  
czą. Co sprawia, że rodzina jest tak istotnym elementem życia człowieka i funkcjonowania społeczeństwa?

**JADWIGA KOMOROWSKA:** – Każdy człowiek ma potrzebę uznania społecznego i uczuciowego oddźwięku. Rodzina zaś jest szczególnie predestynowana do zaspokajania tych ogromnie ważnych potrzeb i w związku z tym powszechne są wobec niej gorące oczekiwania. W świecie zewnętrznym nie brak często agresji, zawiści i konfliktów. Dlatego dom powinien być azylem, bo inaczej człowiek nie jest w stanie w tym zewnętrznym świecie owocnie funkcjonować.

**Skąd to przekonanie? Czy Pani dom rodzinny był właśnie takim azylem na przykład w czasie okupacji?**

– Ja Panu Bogu dziękuję, że miałam takich kochających i troskliwych rodziców. W domu był zawsze ustalony rytm, ład i spokój. Było też dużo muzyki, ponieważ mój ojciec – oficer Wojska Polskiego – był także muzykiem i dyrygentem. To miało istotny wpływ na nastrój panujący w naszym domu. A był to dom oparty na zdrowych zasadach, przyjazny. Dopiero gdy sama założyłam rodzinę, pomyślałam sobie: „Boże, jaka ja byłam szczęśliwa w dzieciństwie”.

W czasie wojny nasza rodzina była zdekompletowana – przez wszystkie te lata ojciec przebywał w oflagach. Ale mimo wszystko dom zawsze był taką ostoją, miejscem, gdzie wiadomo było, że są ludzie kochający, gdzie jest spokój i opieka. Mama, która pełniła wtedy rolę obojga rodziców, była wręcz heroiczna i bardzo praco-



KS. SŁAWOMIR CZAJEŁ

wita. Dostawaliśmy jednak czasem listy od ojca, więc choć nasza rodzina fizycznie była podzielona, to duchowo byliśmy cały czas zjednoczeni.

**Jaki wzór relacji małżeńskich starała się Pani przekazać swoim dzieciom?**

– Głównym wzorem jest miłość, która zawiera w sobie – jako swe istotne elementy – szacunek, przyjaźń, współdziałanie, pomoc i opiekę, np. w chorobie, ale też pewną wyrozumiałość na słabości ludzkie. Tak, jak Pan Bóg na pewno nie jest „księgowym”, który precyzyjnie notuje wszystkie nasze przewinienia, tak i my nie powinniśmy dokładnie notować i pamiętać przewinień naszych bliźnich, a więc też oczywiście – współmałżonka. Powinniśmy raczej być gotowi, by uderzyć się we własne piersi. Są oczywiście pewne granice rozsądkowe tej tolerancji, ale nie ma nic gorszego niż nieustanne wypominanie komuś jego błędów.

## Jadwiga Komorowska

Ur. 1921 r., socjolog, autorka licznych badań i publikacji z zakresu socjologii rodziny i kultury. Mieszka w Gdańsku-Osowej; na początku grudnia br. obchodziła 90. urodziny.

Uważam, że w małżeństwie, jak w życiu, potrzebna jest mądra i serdeczna dyplomacja. Strzec się trzeba weredyctwa, czyli „rąbania” prawdy bez względu na okoliczności. Od prawdy zawsze ważniejsza jest miłość, która jest przeciw prawdą najwyższą. Ona wyzwala z niewoli zła i zakłamania. Muszę przyznać, że denerwuje mnie okropnie, gdy mówi się tylko „Prawda nas oswobodzi”, a zapomina się o miłości, o tym, że Chrystus jest miłością. Chrystus mówił o sobie: „Ja jestem prawdą”.

# Bogu dziękować



rozmowa oraz stworzenie dzieciom warunków dla ich rozwoju.

Notabene dziecko zawsze jest chronione przed niepożądanymi wpływami, jeśli jest zaprzyjaźnione z rodzicami. Dziś niebezpieczeństwo zbyt wczesnego zetknięcia się dziecka z brutalnością życia jest większe. Ale jeśli nawet dziecko obraca się w jakimś nieciekawym towarzystwie, to jego ocena i jego reakcje zawsze będą połączone z myślą: „A co moja mama lub tata by na to powiedzieli?”. Tego rodzaju przyjazne przywiązanie do rodziców sprawia, że wpajane przez nich w serce dziecka wartości same przemawiają.

**Powiedziała Pani, iż istotne jest, by w życiu rodzinnym obecna była modlitwa. Czy wiarę w Boga miała Pani od dzieciństwa?**

– Gdy dziś wspominam dzieciństwo, widzę ojca, gdy klęczał przy łóżku i się modlił. Także mama często powoływała się na Ewangelię. Oboje byli szalenie ofiarni, wypełniali ideę miłości bliźniego, a jednocześnie modlili się do Boga. Mając takich rodziców, żyłam w klimacie wiary.

Ale gdy miałam kilkanaście lat, czytałam rozmaite książki, pojawiały się różne przemyślenia, nawet zwątpienia. Jednak nigdy nie odrzuciłam praktyk religijnych. Po prostu starałam się nie być bezrefleksyjna. Teraz mówię, że ja nie wierzę, tylko wiem, że jest Bóg – Stwórca świata i Miłość przedwieczna. Mówię tak, bo doszłam do tego przekonania na drodze przeżyć i przemyśleń w ciągu całego mojego długiego życia. A mam już 90 lat!

Właściwie zawsze odczuwałam obecność Boga. Najbardziej, gdy urodziłam moje dzieci. Sama nie byłabym przecież w stanie sprawić, by pojawiły się na świecie. Tylko zgodnie z „zaprogramowaniem” przez Pana Boga takie stworzenia się rozdziły i rozwijały. Teraz o istnieniu Boga mówi mi każdy „wykluwający” się z ziarenka listek, bo rozwija się według planu Największego, Najwspanialszego Programatora. Jego dzieło – dokonane na drodze ewolucji czy inaczej – zawsze jest mądre i piękne, bo poczęte z miłości.

**Jest Pani przykładem osoby, która Bogu dziękuje za życie, za wszystkie dary...**

– Uważam, że generalnie za mało akcentuje się w pieśniach i w liturgii właśnie to wielkie zdziwienie nad pięknem stworzenia. Moje dzie-

ci były kiedyś na rekolekcjach w Kościerzynie i pewien młody ksiądz powiedział im wtedy zdanie, które mi powtórzyły po powrocie do domu: „Pamiętajcie, że zawsze, w każdej sytuacji człowiek ma jeszcze za co Panu Bogu dziękować”. Czyli nawet i w najgorszej sytuacji! A my żyjemy przecież w stosunkowo niezłych warunkach. Wobec rzeczywistości możemy się ustosunkować różnie, to jest kwestia postawy – albo tej wiecznie zrządzającej, albo właśnie radości i wdzięczności, cieszenia się każdym listkiem, każdym uśmiechem. Ja obstaję przy tej drugiej opcji.

**Przed nam święta Bożego Narodzenia. Do których zwyczajów przywiązuje Pani szczególną wagę?**

– Poza tradycją dodatkowego nakrycia na stole dla niespodziewanego gościa oraz obecnością fotografii mojego zmarłego męża, bardzo ważną sprawą są kolędy. Kiedyś wszyscy dużo więcej śpiewali i od najmłodszych do najstarszych – kolędowali. Wspólny śpiew ma ogromne znaczenie integrujące.

Jest jeden zwyczaj, którego pilnie przestrzegam. Uważam, że istotą świąt Bożego Narodzenia jest miłość, dlatego zawsze po przeczytaniu słów Ewangelii o narodzeniu Chrystusa, czytam moim dzieciom i wnukom fragment wybranego tekstu o miłości, np. piękną Modlitwę św. Franciszka z Asyżu lub słowa bł. Matki Teresy z Kalkuty: „Zawsze, ilekroć się uśmiechasz do swojego brata i wyciągasz do niego rękę – zawsze wtedy jest Boże Narodzenie...”

## Boże Narodzenie

Zawsze, ilekroć się uśmiechasz do swojego brata

I wyciągasz do niego rękę,  
Zawsze wtedy jest Boże Narodzenie.  
Zawsze, ilekroć milkniesz, by innych wysłuchać,  
Zawsze, kiedy rezygnujesz z zasad,  
Które jak żelazna obręcz uciskają ludzi w ich samotności,  
Zawsze, kiedy dajesz odrobinę nadziei załamany,  
Zawsze, kiedy rozpoznajesz w pokorze,  
Jak znikome są twoje możliwości  
I jak wielka jest twoja słabość,  
Zawsze, ilekroć pozwolił, by Bóg pokochał innych przez Ciebie  
Zawsze wtedy jest Boże Narodzenie.

**Matka Teresa z Kalkuty**

Ale kimże był, jak nie ofiarną miłością? W małżeństwie powinna być taka właśnie miłość – miłość ofiarna.

**Co trzeba zrobić, aby relacje w rodzinie, szczególnie między rodzicami a dziećmi były właściwe?**

– Rodzice powinni być dla swoich dzieci tzw. właściwym autorytetem, stworzonym przez nich samych, dzięki realizowaniu wartości moralnych i kulturalnych. Ja miałam to szczęście, że moi rodzice taki autorytet stanowili. W wychowaniu najważniejszy jest osobisty przykład rodziców. Wiedzieli już o tym starożytni Rzymianie, którzy mówili: *verba docent, exempla trahunt* (słowa uczą, przykłady pociągają). W takim układzie kary cielesne (poza lekkim klapssem) są niepotrzebne, mało tego – są wykluczone. Wystarczy przykład i autorytet rodziców, ich obecność i serdeczna





Na kurtce, którą miał na sobie młody człowiek w chwili śmierci, wciąż widać plamy krwi  
**PONIŻEJ:** Piasek to ostatni prezent, jaki mała Grażka dostała od brata

# Chłopiec od św. Antoniego

**GRUDZIEŃ '81.** – Po latach, kiedy zastanawiam się nad śmiercią syna, to tak myślę sobie, że **w Katyniu przynajmniej strzelali w tył głowy.** A tu Polacy, i prosto w twarz! – mówi Marianna Browarczyk, mama Tolka.

tekst i zdjęcia

**KS. SŁAWOMIR CZALEJ**

slawomir.czalej@gosc.pl

**D**wudziestoletni Antoni wracał 17 grudnia 1981 r. z praktyk w zakładzie elektromechanicznym. W tym czasie przed budynkiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku zebrał się kilkudziesięcny tłum ludzi demonstrujących przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Droga na dworzec PKP zagradzał kordon zomowców, milicji i wojska. Strzały od strony komitetu padły około godz. 16.30. Tolek prawdopodobnie zginął na miejscu.

## Walizka

Mieszkanie Marianny i Czesława Browarczyków na gdańskiej Zaspie. Na parterze, tuż obok bloku, gdzie przed laty mieszkał Lech Wałęsa. Ojciec przykuty do łóżka po wylewie.

– Tych mebli nie dam tknąć, nawet gdyby się rozlatywały – mówi mama jednej z pierwszych ofiar stanu wojennego. Meble stanowiły kie-

dyś prawdziwy hit. Takie na wysoki połysk, ale nie typowe ciemne, tylko jasne i ze wzorkiem. Jako najwyższy otwieram górną szafkę. Wyciągam walizkę i kładę ją na łóżko Antoniego, tuż obok pluszowego pieska, którego podarował swojej małej, niespełna 7-letniej siostrzytce Grażynce, niedługo przed śmiercią. To był jej ostatni prezent od brata. Rozpinamy oba paski. W środku... Wzruszenie ścisła mi gardło. Walizka jest pełna matczynych relikwii.

Antoni to drugi syn, którego pochowali rodzice. Pierwszy, Henryk, zmarł jako małe dziecko. – To potem chodziłam do kościoła jezuitów we Wrzeszczu i modliłam się o dziecko przy figurze św. Antoniego. I jak urodził się chłopiec, to dałam mu na imię Antoni – wspomina mama.

Toni był dobrym chłopcem. Nawet dzisiaj, po latach, sąsiedzi wspominają, jak to pomagał wnieść na górę zakupy. Bez prośnienia. Ale najbardziej kochał małą Grażkę. Za kieszonkowe



**Na dziecięcych rysunkach siostry zachowało się świadectwo tragedii sprzed 30 lat**

kupował jej drożdżówki. – A kiedyś to nawet powiedział, że stał pół nocy dla mnie po masło. Żebym miała chleb z masłem. Ja wtedy nie wiedziałam, co to znaczy, że on aż tak się dla mnie poświęcił – mówi siostra. I jaki honorowy był. Raz nawet powiedział do mamy, że mu wstyd robi! – Zapytałam, jaki wstyd. A on, że dwóch chłopów w domu, a mama okna myje! – wspomina Marianna łamiącym się głosem. Pierwsze zarobione pieniądze przyniósł do domu i położył na stole. Bo w domu była taka zasada. – Powiedziała mu, że za te pierwsze to sobie ma coś kupić. Potem będzie oddawał. Toni nie za bardzo wiedział co, więc poszliśmy razem do sklepu i kupiliśmy te filiżanki – mówi mama. Ale jak byli już przy kasie, to cofnął się jeszcze po drugi komplet, żeby nie było, że Grażynka nie dostanie.

Zaczynam podnosić filiżankę z kawą bardziej ostrożnie. Bo to ta sama, biała ze srebrnym rantem na górze.

Nie wiem, co robi bardziej wstrząsające wrażenie. Czy pocięta w paski podkoszulka, czy zakrwawiona kurtka. Koszulkę pocięli nożyczkami lekarze już w szpitalu, robiąc sekcję zwłok. Na kurtce natomiast wciąż są plamy krwi. – Dwa razy ją prałam, żeby trochę odświeżyć, i nic. Zostały do dzisiaj! – mówi mama. Oglądam koszulkę. Też są na niej ślady krwi. Tylko aparat i karta pływacka nie są zakrwawione.

## Zabetonowana prawda

Jak mała Grażka usłyszała, że Tolusia zabili, to... – Ja nie wiedziałam, co się dzieje. Mama płakała, tata też – wspomina. W małej główce musiały kłębić się myśli. Że nie będzie już drożdżówek, rzucania się na szyję na powitanie, wyjść na mecze Lechii, której był wiernym kibicem. – Toni na meczu musiał mnie czasami uspokajać. Jak strzelili gola, to krzyczałam: Bravo! A on, że to nie nasza bramka i żebym teraz cicho była, bo to nie my... – uśmiecha się. I jeszcze – że nie będzie wyjść na randki brata. Bo na nie też chodziła, jako „obstawa”.

Z zachowanych akt IPN, a jest tego 1000 stron, jasno wiadomo, kto tego dnia strzelał. Badania balistyczne czarno na białym pokazują, że strzały padły w 10-tysięczny tłum. Nie strzelano w powietrze ani po nogach. Nie były to też żadne rykoszety. Broni „spontanicznie”, bo bez rozkazu, użyli: st. sierżant Jan Broda, sierż. Ryszard Święconek, st. kpr. Henryk Bulczak i sierż. Bronisław Bednarek. Dostali za to odznaczenia państwowe i resortowe oraz awanse na wyższe stopnie. Wierni słudzy władzy ludowej. Śledztwo, co jakoś specjalnie nie dziwi, zostało umorzono. Bo nie wiadomo, kto z jakiej broni strzelał. Panował pośpiech i każdy pobierał ją jak leciało, a później nie ewidencjonowano zdawanej broni. Wystrzelone pociski też zostały natychmiast zniszczone, co prokuratura określiła jako... „zaniedbanie”.

Kula przeszła Tolkowi przez prawy policzek. W szpitalu orzeczono uszkodzenie nerwa kręgowego i pnia mózgu. Lekarze twierdzili, że przywrócili Tolkowi krążenie i że zmarł sześć dni później (23 grudnia). Ale to kłamstwo.

Tolek zginął na miejscu, naprzeciw dzisiejszego budynku LOT-u. – Nie mogę tylko pojąć, że jak widzieli, iż ludzie go nieśli do szpitala na ławce, to jeszcze rzucali w nich petardami – mówi mama. Tego dnia kolejne dwie osoby zostały ranne w wyniku postrzału. Pogrzeb chłopca odbył się w końcu 31 grudnia. Tak żeby nikt nie wiązał jego śmierci z demonstracją. SB wpadło do mieszkania Browarczyków jeszcze w dniu postrzelenia. – Nic nie powiedzieli o śmierci syna, tylko pytali o notes, o ulotki i z kim się spotykał – mówi pani Marianna. Wtedy nie wytrzymała i krzyknęła: „Wy mordercy! Syna żeście mi zabili, a o ulotki się pytacie?”. I mówiła jeszcze, że nie odpowiada za siebie. Odpuścili i zapowiedzieli, że wrócą. W mieszkaniu byli wtedy brat Marianny i szwagier. Ulotki wcześniej ukryto w barku. – Brat je zabrał i wyskoczył przez okno razem ze szwagrem. A wiadomo to, czy domu nie obserwowali? – dodaje.

Wkładamy rzeczy Tolka do walizki. Kładę ją z powrotem na górną szafkę i natrafiam ręką na papierowy rulon. Mama poleca go wyjąć. To duży plakat z czerwonym napisem „Solidarność”. – Pewnego razu Tolek przyniósł go do domu. Ja się bałam, co on nosi. Ale powiedział, że z muru mogą zerwać, a w domu przetrwa na wieki. Nawet mu przy nim zdjęcie tym aparatem robiłam, bo chciał – wspomina. Na czarno-białej fotografii stoi uśmiechnięty chłopak z charakterystycznym gestem palców ułożonych w kształt litery V. Po latach na innym zdjęciu mama rozpoznała w tłumie syna biorącego udział w demonstracji 16 grudnia, dzień przed śmiercią. Dzisiaj w komputerze Grażyny fotografii ze stanu wojennego są dziesiątki. Ale brat widnieje tylko na tej jednej. Jego ostatnie zdjęcie.

Ze stanu wojennego zachowały się jeszcze dwie metalowe blaszki. – To jest mój nieśmiertelnik – wyjaśnia Grażyna. Antoni zrobił go dla siostrzyczki w zakładzie pracy ze stali nierdzewnej. – Antoś powiedział, że muszę go nosić, bo gdyby nas rozdzielili, to żebym nigdy nie zapomniała, kim jestem! – dodaje. Jest imię, nazwisko, data urodzenia i adres. Na drugiej blaszce samo imię: Tolek.

Za śmierć brata Grażka też musiała zapłacić. Zdrowiem. Przez rok na widok milicjantów natychmiast dostawała zapaści. – Miałam w głowie, że skoro oni zabili Toniego, to nas też zabiją – wspomina. Kiedy szła z mamą, a ta z daleka widziała stróżów komunistycznego prawa, to zaraz odwracała się z córką w inną stronę albo zasłaniała jej oczy. Po trzech latach od śmierci brata jego siostra zaczęła pisać wiersze. Ma to chyba po Tolku, bo on też pisał, ale z jego młodzieńczej twórczości pozostały jedynie strzępy. Kartki z wierszami i piosenkami zabrał brat i szwagier, wyskakując za okno. Nie zachowały się.

W jednym z wierszy 11-letniej siostry czytamy: „Zaledwie miał dwadzieścia lat./ a już zabrano mu życie./ on kochał „Solidarność” jak swoją matkę/ za „Solidarność” przepłacił życiem./ Smutna jest dola Brata./ lecz prawda kryje się taka./ zginął od kuli na ulicy Gdańska./ strzał był z ręki Polaka!!!”.

– Musiałam pisać. W tym wyrażałam swoją złość. Chciałam to wszystko zrozumieć – mówi. O traumie wrażliwego dziecka świadczą też rysunki Grażki zachowane przez mamę. Na nich szpital. Przy stole stoją dwie lub trzy pielęgniarki. Mają czerwone

krzyże, ale czerwony krzyż jest też na stole operacyjnym. Leżący na nim człowiek ma w policzku czarną dziurę. Przez okno zagłada wielkie żółte słońce. Na innym rysunku pielęgniarka wznosi ręce do góry jakby w geście bezsilności.

Spośród rysunków wypada autograf Antoniego. To list, który napisał przed swoją Pierwszą Komunią św.:

„Najdroższy mój Tatusiu i ty moja kochana Mamusiu. Zbliża się dla mnie najpiękniejsza chwila w moim życiu pierwsze spotkanie się z Panem Jezusem w dzień pierwszej Komunii Świętej. Proszę was serdecznie urządźcie go jak najuroczyściej. (...) Proszę was byście przed spowiedzią św. przebaczyli mi moje przewinienia. Mamusię proszę by, w przed dzień uroczystości na osobnym stoliku okrytym białą serwetką i przystrojonym kwiatkami stoliku ułożyła moje ubranko i świece. (...) Gorąco was proszę by na moim przyjęciu nie było Alkoholu. Przez który wyrządzają wiele krzywdy dzieciom i obrażają Pana Boga. Pragnę przez cały tydzień przyjmować Pana Jezusa. Proszę Was byście kierowali mnie do Spowiedzi i do Komunii św. Za to was będę bardzo kochał przez całe życie. Wasz kochany Antoni.” (Zachowano pisownię oryginalną).

## Zamiast zakończenia

Z inicjatywy kibiców Lechii oraz młodzieżowych środowisk opozycyjnych 9 grudnia br. Grażyna Browarczyk odsłoniła na budynku siedziby „Solidarności” baner upamiętniający 30. rocznicę śmierci brata. 16 grudnia po Mszy św. sprawowanej przez abp. Sławoja Leszka Głódzia na miejsce śmierci Tolka przeszedł pochód. Zapalono znicze i postawiono krzyż. Miała być także tablica. Władze miasta zakwalifikowały ją jednak jako pomnik i nie zgodziły się na jej postawienie. Powstanie prawdopodobnie w przyszłym roku.

W 1993 r. Grażyna Browarczyk, wówczas uczennica trzeciej klasy gdańskiego X LO, za pracę na zajęciach z wiedzy społecznej otrzymała ocenę niedostateczną. Tematem wypracowania było jakieś traumatyczne przeżycie, które wycisnęło silne piętno na życiu uczniów. Grażyna napisała o Tolku. Wzburzona nauczycielka, oddając uczennicy przekreśloną pracę, powiedziała, że „to są kłamstwa i bzdury”. No bo kto w Gdańsku słyszał, że w stanie wojennym zginął jakiś tam Browarczyk... ■

Jak to drzewiej na Kaszubach bywało

# Rety, Gwizdże idą!

– Kiedyś to dopiero była bieda, ale nikt nie narzekał. **Święta też obchodziło się skromniej, ale radośniej** – mówi z nostalgią 76-letnia Urszula Skołyśzewska.

Celebracja Bożego Narodzenia rozpoczynała się już w Adwencie, obowiązkowo codzienną Mszą świętą roratnią. I to nie jak dziś – popołudniową, lecz poranną. Wydawałoby się, że dla dzieci taka pobudka była przykrym obowiązkiem. – Uwielbiałam chodzić na Roraty! Jak mama czasem zabraniała, bo był mróz, wiał silny wiatr i mogliśmy się pochorować, to aż płakałam – wspomina Władysława Kreft z Czczewca. – Chodziliśmy bez lampionów, nie znaleźliśmy tego zwyczaju. A po mszy grzaliśmy się w szkole przy kaflowych piecach.

Dzieci wiedziały, że czekają na przyjsie Boga. Za dobre uczynki kładły żdźbła słomy pod figurką Jezuska.

## Dwanaście potraw? Gdzie tam!

Na wigilijnym stole pojawiały się barszcz lub zupa owocowa, ziemniaki i ryby, głównie śledzie. Gospodynie piekły różne ciasta, jedne pierniki, inne makowce, ale prawie wszędzie była drożdżówka.

– I wielki przysmak dzieci – „orzechy” z ciasta i marchwi. Często dodawało się do nich syrop z buraków lub pieprz, najsmaczniejsze były po kilku dniach – opowiada 84-letnia Zofia Gusman z Rębą.

Na co dzień Kaszubi jadal chleb i ziemniaki, więc każda odmiana cieszyła. Nawet jeśli świąteczne menu było skromne. – W Wigilię dwanaście potraw? Gdzie tam! Na święta piekło się gęś, a jeśli była



ZE ZBIORÓW RAFAELI PIEŁOWSKIEJ

drożdżówka, to się każdy cieszył – opowiada Rafaela Piełowska, która wychowała się w małej wiosce Żuromino.

Dawniej, gdy brakowało pieniędzy, każdy sam robił świąteczne prezenty. Dziś na widok tamtych upominków pewnie niejedne dziecko pokręciłoby nosem.

– Raz mama uszyła mi bluzeczkę, potem zrobiła lalkę czy misia. Ja też miałam zawsze dla mamy jakiś drobiazgi – wspomina Urszula Skołyśzewska, rodowita wejherowianka.

Ozdoby choinkowe robiły dzieci: gwiazdy z papieru, aniołki z włóczki. One też dekorowały drzewko, wieszaly orzechy, jabłka, pierniki. Szklane bombki można było spotkać tylko w bogatszych domach

– Byliśmy dość majętni, ojciec kupował różne ozdoby. Mieszkałiśmy w Gdańsku i po szkole chodziliśmy z chłopcami do fabryki bombek. Pracownicy zawsze dawali nam po kilka sztuk – opowiada Andrzej Adamski z Wejherowa.

Dawniej na choince paliły się świeczki, co groziło pożarem. Kiedyś w domu państwa Kreftów

z Czczewca od płomienia zapaliła się wata na gałęzkach – gospodarz musiał drzewko przewrócić i zadeptać ogień.

## Drzyjcie narody, Gwizdże idą!

– Dawniej najbardziej czekaliśmy nie na prezenty, a na Gwiazdki – wyznaje Piełowska. – Chłopcy z wioski, także moi bracia, przebierali się. A jak kombinowali, by się ładnie wystroić – kozuchy obszywali świerkiem, dekorowali papierkami.

Dziad, baba, kozioł, koń, diabeł, bocian, śmierć, kominiarz, muzykant z harmonią i policjant – Gwiazdki stanowiły nie lada atrakcję. Zwłaszcza, że towarzyszył im Gwiazdor. – Miał gruby kozuch, pas skręcony ze słomy i korbacz w rękę. Kazał mówić pacierz, a jak kto był niegrzeczny, to i korbaczem dostał – opowiada ze śmiechem mieszkanka Czczewca.

Dzieci bały się Gwiazdek, bo rumoru potrafiły narobić. – Gdy miałam siedem lat i byłam chora, rodzeństwo schowało się u mnie pod pierzyną – wspomina.

## Każdego roku w Żurominie pojawiają się kaszubskie Gwizdże

Strzec się musiały także niezamężne dziewczyny. – Jeśli w domu były młode panny, to drzyjcie narody! Gwiazdki tańczyły z nimi do upadłego. Kominiarz za-

glądał do pieca i jeśli był źle wyczyszczony, to wysypywał popiół na środek kuchni. A sadzą smarował pannom twarze! Na Pasterce dziewczęta miały jeszcze szare smugi na policzkach, bo w świetle lampy naftowej nie wszystkim udało się domyć – wspomina Zofia Gusman.

Czasy się zmieniły, ale na Kaszubach przetrwały niektóre zwyczaje świąteczne. W Adwencie kościoły zapelniają się dziećmi z kolorowymi lampionami. Często wnuczka pod okiem swoich dziadków same robią ozdoby na choinkę lub pieką pierniczki. W święta rodziny śpiewają kolędy polskie i kaszubskie. I wciąż w wielu miejscowościach, w tym w Żurominie czy Rębą, można spotkać młodzież przebraną za Gwizdże, które starym zwyczajem odwiedzają każdy dom.

Daria Kaszubowska